

Krzysztof Urban

DOŻYWOTKA



KRZYSZTOF URBAN

DOŻYWOTKA

Copyright by Krzysztof Urban & e-bookowo 2009

Projekt okładki: Krzysztof Urban

ISBN 978-83-61184-31-7

www.e-bookowo.pl

kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości bez zgody wydawcy zabronione

Wydanie I 2009

www.e-bookowo.pl

WPROWADZENIE

Książka rodziła się powoli. Prawa rządzące fikcją literacką nadały jej wprawdzie formę, a przecież nie stała się przez to powieścią – takie odnoszę wrażenie. Zbyt wiele tu faktów. Nie mogłem też jej uznać za reportaż, choć zbudowałem ją na wspomnieniach płynących na żywo, opowiadanych w przybliżeniu szczerości przez – nieżyjącego już – szkolnego kolegę, który na początku lat osiemdziesiątych został osadzony w Ośrodku Zewnętrznym Zakładu Karnego, mieszczącym się na obrzeżach jednego z peerelowskich pegeerów. Takich miejsc było wówczas – o czym mało kto wiedział – sporo. Realia związane z życiem i pracą młodocianych przestępców – zimno, brud, brak opieki lekarskiej, a zwłaszcza niewyobrażalny głód – były dla mnie wielkim zaskoczeniem, podobnie jak warunki egzystencji zwierząt, o których przyjaciel opowiadał ze smutkiem (do tej chwili dźwięczy mi w uszach jego łamiący się głos). Pewnego dnia postanowiłem spisać zapamiętane szczegóły ze zwierzeń przyjaciela, by potem systematycznie, po każdej kolejnej rozmowie, zacząć robić notatki. Gdy wreszcie przeczytałem zebrany materiał, odczułem, że nie ma w nim duszy, że brakuje mu czegoś istotnego, co przykuwało moją uwagę w relacjach słuchanych na żywo. Wpadłem na zbawienny pomysł, by skorzystać z magnetofonu. Słuchanie nagrań uświadomiło mi, że równorzędnym bohaterem wspomnień przyjaciela był język, którym opowiadał swą historię – nie język pięknoducha ślizgający się po powierzchni zjawisk, lecz wnikający w esencję język człowieka zmagającego się ze swym losem. Trzeba było więc, słuchając nagrań, nauczyć się oddychać i czuć w tym języku, by odtworzyć czas i miejsce tak odmienne i dalekie, a zarazem tak bliskie.

SANKCJA

Wchodziłem po schodach rozdygotany. Za mną szedł gliniarz. Zastanawiałem się, czy nie dałoby się uciec, ale gdzież tam. Okna zakratowane, wąskie schody z poręczami do sufitu, na dole dyżurka pełna mundurowych. Chęć miałem i pewnie zapisałbym duszę diabłu, żeby tylko nie oglądać tych lastrykowych stopni i ścian pomalowanych olejną farbą, ale widać, los chciał mnie doświadczyć. Szansa była, ale czy warto brać się za coś, co nie wypali w stu procentach? Może coś bym wykombinował, ale ten za plecami? W dodatku głowy i kości nie miałem w najlepszej formie po wczorajszej zabawie. Nie dałbym rady przewrócić nawet dzieciaka, to o czym tu myśleć, kiedy kark grzał mi oddech dobrze zbudowanego osiłka.

Po co pakowałem się w to szambo? Szedłem z kolegą ulicą, zapytaliśmy jakiegoś gościa o godzinę i po chwili wywiązała się bójka. Nawet nie potrafiłem powiedzieć dlaczego. Kto zaczął i po co. Później zacząłem uciekać, nagle przewróciłem się, zrobiło się ciemno i znalazłem się na komisariacie.

Koledzy z osiedla opowiadali mi czasem, że znaleźć się w kryminale, gdzie sypia się na piętowych łózkach, gdzie do łaźni chodzi się raz w tygodniu, a za potrzebą trzeba stać w kolejce, to nie to samo co wczasy nad morzem. Dla mnie był to świat odległy i nierealny chociaż otarłem się już o niego. Czy los się na mnie uwziął i chciał mnie doświadczyć bardziej niż innych?

POWITANIE

Nie tylko ja byłem zdziwiony. Oczekiwaliśmy wielkiego muru, kogutów, a tutaj jak u Pana Boga za piecem. Na środku placu kwietnik, asfaltowe alejki, niewielkie domki jak dla dużych krasnoludków i wszędzie rozkwitająca zieleń. Całą grupą poszliśmy do podłużnego budynku. Weszliśmy do środka, a tutaj następna niespodzianka. Telewizor, gry, stoliki i krzesła. Nie wiedziałem, czy jestem na kolonijnej stołówce, czy w więzieniu. Nikt nas nie pilnował, niczego nie kazał. Porozsiadaliśmy się na krzesłach i czekaliśmy, co będzie dalej.

Czas mijał. Nikt po nas nie przychodził. Chciało mi się jarać, ale wszędzie wisiły tabliczki zabraniające palenia. Nie chciałem ryzykować i narażać się na mordobicie: gdyby tak któryś z tutejszych mądrali przypalił mnie na gorącym, zaraz byłaby poruta. Nie liczyłem na to, że tutejsi klawisze są łagodni. Wszędzie byli tacy sami. Nie rozumiałem, dlaczego strażnicy ciągle uprzykrzali innym życie. Nie spotkałem klawisza, który przyłapałby złodzieja na łamaniu regulaminu i nie skorzystał z okazji, żeby mu dokopać.

Łaziłem koło okien i popatrywałem na zewnątrz. Cisza i spokój. Za bramą przetaczała się leniwie furmanka, na której siedział złodziej i poganiał konia. Zachodziło słońce. „Co to jest?” – myślałem. „To miał być ponury kryminał?” Niczego nie rozumiałem, ale cieszyłem się jak dziecko. Zamknięty w lodowie przez cały dzień myślałem, że nic dobrego mnie nie spotka. Teraz patrzyłem na łagodne zbocza górskie, na domki ze szpiczastymi dachami i myślałem, że życie nie jest takie najgorsze. Raz jest lepiej, innym razem gorzej ale ogólnie idzie żyć. Najprzyjemniejsza z tego wszystkiego było gapienie się w przestrzeń. Czuję się tak, jakbym wypił szklanekę wina. Ostatnio oglądałem tylko ściany małych cel, a na spacerach, jak chciałem wyjrzeć na świat, gały rozbijały się o mur. Na wolności też nie było jakoś okazji, żeby tak stanąć, zastanowić się i popatrzeć. Ciągle tylko knajpy, kawiarnie, chętne panienki. Życie jak na karuzeli: co chwilę w tym samym miejscu i kupa bzdurnego chachania.

W oknie jednego z domków stał jakiś złodziej i nawijał coś na rękach. Nie umiałem czytać mowy pisanej dłońmi. Odwróciłem się i zapytałem, czy któryś gada witami. Na szczęście znalazł się jeden. Podszedł do okna, stanął obok i zaczął wykrzywiać paluchy. Po chwili powiedział, że pytają nas, skąd przyjechaliśmy. Trwało to trochę nim pokazał na palcach, skąd się wzięliśmy. Robiło się nudno. Przestało mnie interesować o co pytają.

Pomyślałem o domu. Nastrój wywołany krajobrazem zniknął. Denerwowało mnie, że nie wiem, gdzie jestem i co będzie dalej. Ale w kryminale każda chwila jest niewiadomą. Człowiek myśli, że już jakoś ułożył sobie życie, zorganizował kąpiel, ma wafli, a tu nagle przychodzi obcy człowiek, każe zwijać mandżur i goni do innej celi albo wsadza do samochodu i każe jechać na drugi koniec Polski. Nie ma na to silnych. Trzeba dostosowywać się, albo wypada się z gry, zupełnie jak z darwinowską ewolucją: nieprzystosowani do chasiora.

Wreszcie przyszedł jakiś mundurowy i wyczytał nazwiska. Ci, których wymienił, zostawali, reszta na samochód. Było już ciemno. Nie miałem ochoty nigdzie się ruszać. Podobało mi się w tej świetlicy. Zamiast muru siatka, złodzieje mieszkali w domkach, telewizor. Szkoda. Lecz jakie miałem wyjście? Przygnębiony wyszedłem na dwór i wgramoliłem się na Stara z plandeką. Zupełny odjazd. Było nas dziesięciu. Nikt nas nie skuwał, nie zamykał w drucianych klatkach, żadnej eskorty. Wyjechaliśmy za bramę z rozdziawionymi gębami. Nic mi się nie zgadzało. Przecież wystarczyło przełożyć nogę za burtę pędzącego samochodu, jeden skok i już mnie nie ma. Wkoło pełno lasów, ale gdzie uciekać? Wszystko obce, żeby choć w pobliżu mieszkał jakiś ziomek, to jeszcze. Człowiek przycupnąłby na parę dni, dał znać do domu i jakby dobrze się ułożyło można by pochodzić parę lat po wolności. Tylko czy warto? Widziałem już, jak jeden z moich kolegów, Fijoł, ukrywał się. Gdy szedłem z nim ulicą, rozglądał się co chwilę i wpatrywał, czy w pobliżu nie kręcą się gliniarze. W domu nie spał, bo bał się, że mogą go śpiącego wyjąć z pościeli. Miał kasę, to jeszcze dawał sobie jakoś radę. Wyjeżdżał w teren, powywijał, coś ukradł, a jak dobra passa się kończyła, wracał do Słupcy i łaził po kumplach. Opowiadał wtedy o swoich skokach, bajerował i udawał, że wszystko jest glans pomada. Kolesie wspomagali go, bo przecież to swój człowiek, ale jak wyczuli, że jest pusty, odbijali od niego szybko i mówili, że sami mają kłopoty.

Nikogo tutaj nie znałem. Siedziałem przy tylnej burcie Stara, odchylałem plandekę i rozglądałem się. „Co za okolica?” – przemknęło mi przez głowę. Wszędzie ciemno, ani jednego światełka. Liczyłem, że może zobaczę drogowskaz, ale nawet gdyby gdzieś tam stał, było zbyt ciemno, żeby cokolwiek zobaczyć. Byłem zmęczony. Marzyłem o spokojnym miejscu, byle jakiej koi i spaniu do rana. Trzy lata do odsiadki. Nie warto było chować się jak szczur i wciąż myśleć, kiedy mnie złapią. Co bym zresztą robił? Nie byłem bandziorem z krwi i kości. Pracowałem, czasem wypilem jak inni, spotykałem się z dziewczynami, ale żeby jakiś przestępczy świat, życie ze złodziejstwa? Nie tak wyobrażałem sobie przyszłość.

PRZYDZIAŁ

- Umiesz gotować jajka?

To były pierwsze słowa jakie usłyszałem od naczelnika pawilonu. Stałem przed nim wyprostowany; nie, nie na baczność – w więzieniu nie musztrują według regulaminu wojskowego, wystarczy stać jako tako sprężysto i zameldować się: „obywatelu poruczniku, skazany Adam Ciechań melduje swoje przybycie”. Taką formułkę trzeba było wyrecytować, kiedy władza wzywała. Gdy ktoś sam chciał zobaczyć się z kimś na górze, musiał jeszcze dodać: „i prosi o wysłuchanie”.

Na Łękach naczelnikiem był pułkownik, ale w tym kurniku widocznie wystarczył porucznik. Niższy stopień, mniej główkowania. Zresztą, co on tutaj miał do roboty? Siedział sobie w pokoiku naprzeciw dyżurki, wygodny fotel, biurko, szafa pancerna pełna jakichś papierów, trochę ponawijał ze złodziejami, postraszył ich albo naobiecował złote góry. Umiał gość zagadać, odkryć czuły punkt człowieka i rozbudzić nadzieję na szybkie wyjście. Położył nawet przede mną paczkę szlucgów i powiedział, że mogę je sobie wziąć, ot tak, za nic. Znałem te sztuczki z komendy. Zgrywał dobrego tatusia, który pragnie mojego dobra. Obłaskawić, rozczulić, a wtedy nijak odmówić współpracy, chociaż takiej niewinnej, kilka zdań, nazwisk, przecież nic się nie stanie.

Umiałem gotować jajka i nawet przyrządzić co nieco. Byłem po zawodówce kucharskiej i pewnie mieli to zapisane w moich aktach. Co prawda, nie zdążyłem jeszcze złapać drygu w tym fachu, ale praktyki przez trzy lata po różnych knajpach czegoś mnie tam nauczyły. Co to były za czasy? W szkole same dziewczyny, a nas, chłopaków, tylko pięciu. Było z czego wybierać, ale jakoś żadna mi nie leżała. Kucharki chyba z natury rzeczy niewiele mają w sobie prezencji. Za to na praktykach, w knajpach, jak spojrzeło się na kelnerkę, od razu robiło się gorąco. I nawet chętne były. Jak się udało jakąś zbajerować i zamelinować gdzieś w magazynie, na worach z mąką, to nawet nie musiała się rozbierać. Zawsze chodziły w krótkich spódniczkach. Ale cóż, dobre czasy minęły. Teraz mogłem sobie pomarzyć.

Zaczynałem być w niezłym nastroju. Sądziłem, że to dobry znak, jeśli naczelnik pyta mnie o gary. Widziałem już siebie w kuchni. Każdy mówił, że najlepsza fucha w

wojsku czy w kryminale, to robota na kuchni. Ciepło, bebechy pełne i jeszcze można zahandlować. Tutaj też pewnie szfindlowali. Napatrzyłem się po kuchniach, jakie przekręty robiło się na żarciu. Życie nie było łatwe. W sklepach zawsze pustki, ze wszystkim trzeba było kombinować. Dawniej, na kuchni, jak tak czasem udało mi się podprowadzić kurczaka szefowi, na pniu go sprzedawałem i jeszcze człowiekowi się kłaniali, prosząc o więcej.

Na śledczaku ciągle chodziłem głodny. Szamka, że tylko rzygać. Modliłem się w duchu i czekałem, kiedy naczelnik powie, że od jutra idę pracować na kuchnię. Ale on ani myślał mnie rozpieszczać. Spytał mnie, czy grypsuję. „No to żegnaj, kuchnio” – pomyślałem. Jak chłopcy z atandy ganiali nas po placu, widziałem go dobrze, jak stał w oknie swojego pokoiku i przyglądał się. Nie mógł nie widzieć, którzy z nas się wyłamali. Może chciał potwierdzenia, tak sam na sam, bo człowiek w grupie inaczej, a solo też na inną nutę. Sprawdzał, czy będę miał odwagę powiedzieć mu prosto w oczy, że należę do podkultury więziennej. Czasem to oni potrafili podkręcić jakiś bajer, który mi się podobał. „Odstąpić od ukarania, przywrócić społeczeństwu, podkultura więzienna, troska o skazanego i jego resocjalizacja”. Dobrze było mieć w zanadrzu takie powiedzonko i wyjechać z nim podczas rozmowy.

Powiedziałem mu, że grypsuję, a ten z drugiej strony.

– A czy na pewno wiesz, co to jest i jak się tym je?

Zaskoczył mnie. Nie wiedziałem, co powiedzieć. Zauważył w jakim jestem stanie, ale nie dorzucał do ognia. Zostawił mnie na chwilę z moim zakłopotaniem i odwrócił się do okna. Nie miałem zielonego pojęcia, czym jest grypsowanie. Słyszałem o jakichś obowiązujących zasadach i przestrzeganiu ich, ale szczegóły były dla mnie dopiero przyszłością. Z urywków zdań, zasłyszanych rozmów, tydzień po tygodniu, świat, gdzie się grypsuje, odkrywał przede mną swoje tajemnice. Złodzieje myśleli, że jak się powie „grypsuję” – to już wiadomo, że taki ktoś musi wiedzieć, o co chodzi i znać zasady. Nikt mi nie tłumaczył, na czym to polega.

Naczelnik patrzył w okno, ziewał i powiedział, niby od niechcenia, że do kuchni się nie nadają, bo jedzenie mogłoby przejść grypsowaniem i kto wie, czy poprawni więźniowie nie struli by się od tego.

– Zresztą na kuchni jest zbyt nudno – mamrotał – mam coś dla ciebie lepszego. Grypsujący, to ludzie twardzi i silni, i należy im się coś porządnego.

Nie miałem wówczas pojęcia, o czym mówi, ale pewnie nie szykował dla mnie miejsca w sanatorium. Wkrótce przekonałem się, że praca, do której mnie przydzielił, mocno wchodziła w kości.

Rozmowa była zakończona. Odmeldowałem się i wyszedłem z przydziałem do grupy polowej. Wróciłem do sali. Nie chciało mi się z nikim rozmawiać. Nawet gdyby była herbata, pewnie bym się nie napił. Usiadłem na ławie przy stole i zacząłem rysować kalendarz. Najpierw dwanaście prostokątów, potem znów dwanaście i na koniec taka sama porcja. Trzydzieści sześć prostokątów z małymi kwadratami wyglądało na kilku kartkach nieźle. Talentu do rysowania nie miałem, ale linie wyszły równe, cyfry były zgrabne i wcale nie kojarzyły się z trzyletnim wyrokiem, a raczej z jakąś łamigłówką. Najlepszy był moment, gdy za jednym zamachem odpajkowałem ponad setkę odsiedzianych dni. Śledczak był już odpajkowany, ale to tylko cztery miesiące, wiedziałem, że następne kwadraty nie będą znikać tak szybko.

GRYPSOWANIE

Nikt mi nie mówił, kto szpaci na ozecie, a jednak instynkt mnie nie mylił. Bezbłędnie odgadłem, że Michał jest tu pierwszy i ma najwięcej do powiedzenia. Gdzieś tak po dwóch tygodniach od przyjazdu zawołał kilku chłopaków z naszego transportu na bajerę. Zdążyłem się już przyzwyczać do chodzenia z sali do sali. Na początku jakoś tak z nawyku nie ruszałem się z miejsca. Zdawało mi się, że nadal jestem pod celą na śledczaku i tylko zgrzyt zamka podrywał mnie na nogi i zmuszał do ruchu.

Sale na całym pawilonie wyglądały jednakowo. Jak równość to równość. Administracja tak wymyśliła i złodziej nie miał prawa niczego zmieniać. Zresztą po co? Jak by tak każdy urządzał się na własne kopyto, zaraz zaczęłyby się porównywanka. Tam ładniej, tu gorzej, zazdrość, a na końcu mordobicie. I tak było pełno powodów, dla których niejeden miał chęć utopić drugiego w bardachu. Odstęp od normy, a zaraz znajdą się tacy, co będą skurwysyńsko zezować. Taki Kazik na przykład. Na wolności był krawcem. Jak dostał więzienny gajerek, zaraz go zaczął przerabiać, dopasowywać do swoich gnatów i wyszedł z tego całkiem niegłupi przyodziej. Inni też zaraz chcieli mieć podobne, ale to kosztowało. Niedrogo, ramka szlucgów, parę szufladek herbaty, albo coś z szamki. Nie każdy miał, a zazdrość brała. Zakapowali chłopaczną do naczelnika, że kombinuje. Zabrali mu wypiskę na trzy miesiące. Dobry był z niego złodziej. Nie grypsował, ale trzymał się porządnie. Czasem żał było patrzeć, jak sam siedzi w kącie i je kolację. No bo ani przy blacie z grypsującymi, ani z frajerami. Wywinął jakiś numer, ale dokładnie nikt nie wiedział, co i jak. Poprzedni szpaciociel zabronił mu grypsować, poleciał w transport, a Paweł nie bardzo chciał go podnieść na grypsującego, bo nie znał sprawy. Schować do wora łatwo, ale skiciorować trudniej. Trochę śmiesznie brzmiało, jak podnosili do grypsowania jakiegoś chłopaka. Padała wtedy formułka: „W kicior co do ciebie” i z nie grypsującego robił się człowieczyna w porządku. Zupełnie jak czarodziejskie zaklęcie.

Żelazne, dwupiętrowe łóżka stały w rzędzie pod oknem. Niezła była z nimi robota. Po zasłaniu musiały wyglądać jak spodnie wyprasowane do kantu. Prześcieradło wywinęte na brzegi koca, poduszka wyrównana, w nogach czyściutka platerka złożona w trójkąt i

żadnych zmarszczek czy dołów. Jak złodziej pościelił na wariata, po powrocie z tyрки miał kwit i rozbebeszone kojo do spodu.

Na ścianie, po lewej i prawej stronie od wejścia, wisały szafki na żarcie i osobiste rzeczy. Tylko to było takie gadanie. W kryminale nie ma niczego prywatnego. Rzeczy osobiste? Owszem, ale jedynie jak złodziej potrafił sobie wyobrazić. Pierwszy lepszy mundurowy, kiedy miał ochotę, mógł przewiskać szafkę, uznać cokolwiek za trefne i zrobić z tym co chciał. Ale mało tego. Niejeden, jak wrócił z roboty, a trzymał fajki w szafce, nie zobaczył ich już nigdy. Złodziej złodziejowi podprowadzał, co się dało.

Nad drzwiami wisiał głośnik radiowęzła, popularna betoniara. Tutaj, na ozecie, można było nawet czasem posłuchać porządnej muzyki. Na śledczaku puszczały tylko pierwszy program i słuchowiska. Rzygać się chciało od ciągłego słuchania wiadomości i jakichś porąbanych pogadanek. I żeby chociaż mówili o różnych rzeczach, ale nie, wciąż to samo. Nad socjalizmem zachwyty, a cała reszta to kurestwo. Kawałki o umiejętnym zachowaniu w różnych sytuacjach życiowych dawało się jakoś przełknąć, ale odnosiłem wrażenie, że ci z administracji mieli chyba złodziei za stado baranów, które potrafi tylko żreć i chodzić do kibla. No bo jak zaczynali nawijać, że przy stole to trzeba siedzieć tak, a nie inaczej, z krzesłem obchodzić się według ustalonych prawideł, nie siorb, nie mlaskaj, widelec w lewej, nóż w prawej i może jeszcze żeby knaga nie stała, bo stół się uniesie i kulturalne towarzystwo popłami sobie przyodziewę, to co o tym myśleć? No dobra, to jeszcze przechodziło, mógł przecież trafić się jakiś złodziej z wiochy zabitej dechami, który widział tylko wóz i brony, a żarcie posuwał drewnianą łychę z gara. Ale jak usłyszałem o moralności socjalistycznej i jakimś internacjonalizmie, kichy się przewracały. Mnie nie obchodził ustrój, że rządzi ten czy tamten, tylko jak ktoś wciskał mi ciemnotę, że wszystkim jest dobrze i niczego nie brakuje, a na dodatek, że wszyscy myślą jednakowo, to miałem ochotę zajebać czymś w betoniare, żeby nie kadziła. Na ozecie nie świrowali już z pogadankami i nawet często puszczały trzeci program i człowiek mógł posłuchać Cepelinów albo Epitafium King Krimzon. Co to była za muzyka! Włosy stawały dęba, a wewnątrz to aż coś płakało.

Na środku stały dwa wielkie stoły pociągnięte szarą, olejną farbą. Do tego solidne ławy w takim samym kolorze, kilka taboretów i w rogu chasior na fajans.

Kiedy tylko wszedłem na salę, wydało mi się, że jest to spotkanie inne od normalnych. Zwykle złodzieje siedzieli przy stole albo na taboretach. Do apelu wieczornego był zakaz siadania na łózkach. Czasem ktoś klapnął na koi, ale ogólnie złodzieje unikali podpadek. Nikt nie chciał za głupotę zaliczać kwitów. Potem naczelnik

zabierał korespondencję, wstrzymywał wypiskę albo wysyłał na dwa tygodnie na dechy. Ale chyba najbardziej człowiek się pilnował z raportami, ze względu na wokandę. Było nie było, każdy kwit oddał od warunku. Ja sam, mimo, że miałem chwilę, kiedy wszystko mi wisało i za nic nie sprzedałbym skóry za wcześniejsze wyjście, po cichu liczyłem, że może jednak uda się jakoś urwać przynajmniej kilka miesięcy i zamiast w pegeerze cieszyć się życiem na wolności.

Obok Pawła siedział Piotr. Obydwaj przylecieli z karniaka w Bigoszczy. Jak się dowiedziałem, że mają za sobą już dwa lata, trochę im zazdrościłem. Do wolności zostało im dwanaście miechów, a mnie taki kawał czasu. Na każdego jednak przychodzi pora. Kiedy kręciłem się za panienkami i piłem dobre piwo, oni w tym czasie przeżywali smutniak i pili gorzką kawę z buraków. Kurewska mać, samo życie, jedni to, drudzy tamto.

Paweł był szczupły, wątlý, gadanę miał wolną, jakby zastanawiał się nad każdym słowem. Zawsze mówił konkretnie. Facet z jajami. Nie był taki narwany jak ja, ale gdyby tak do czegoś doszło, wołałbym mieć jego za plecami, niż jakiegoś kozackiego krzykacza z wielkimi bicepsami. Jak coś truknął, to święte: zdecydowanie i stalowa wola.

Piotr był zupełnie inny. Blondyn, z metr osiemdziesiąt, dobrze zbudowany, nie mógł usiedzieć na miejscu. Ostry złodziej. Jak ktoś mu wszedł w drogę, to się nie opalał, walił w ryja i patrzył, czy nie poprawić. Był prawą ręką Pawła, czymś w rodzaju osobistego goryla. Paweł pracował głową, Piotr mięśniami.

Na taborecie, pod oknem, między łózkami, stał słoik z zajechanym czajem. Taboret elegancko przykryty białą platerką, ramka szluców, prawie jak na przyjęciu urodzinowym. Paweł nie wołał nas, nawet nie kiwnął ręką, ale gdy spojrzałem na niego, wiedziałem, że nas zaprasza. Miał wycucie. Nie dał człowiekowi stać jak pętał, co to wchodzi do obcej sali, nikogo nie zna, rozgląda się, miota i nie wie, co ma ze sobą zrobić. Usiadłem naprzeciw niego i wcale nie byłem skrępowany. Chciałem go zapytać, czy mogę wziąć papierosa, ale on uprzedził mnie. Poczęstował fajkami wszystkich po kolei. Piotr rozlewał herbatę. Odkręcił lekko wieczko, tak by nie wypadały fusy i przechylił słoik. Do takich chwil ciągnie chyba bez przerwy. Zapach herbaty, pół litra na stole, kino, zakupy, poker albo zbijanie kabzy to były ludzkie rzeczy, dzięki którym człowiek zaznawał odmiany, a codzienna harówka nie zabijała.

Uczta się zaczęła. Zaciągałem się i czekałem, kiedy przepłuczę sobie gardło herbatą. Dym zagęszczał się coraz bardziej. Jak tak sześciu chłopów na raz zacznie palić, to jeszcze idzie wytrzymać, ale gdy wszyscy przyjarają, to siekiera w powietrzu. Można wietrzyć, otwierać okna, kiedy na dworze jest ciepło. Zimą złodzieje woleli kisić się w dymie, niż

dygotać pod kocami z zimna. Chłodu to każdy miał w bród w pegeerze. Kozuchów nie dawali, a praca w cienkiej kurteczce gdzieś w górach przy kurewskim mrozie, albo ostrym wietrze wcale nie rozgrzewała.

Pierwszy zaczął pić Paweł. Nim oddał bajzelek następnemu, zapytał:

– Chyba wszyscy grypsują?

– Ma się rozumieć.

No tak, tylko skąd Paweł mógł wiedzieć, że tak jest. Zresztą nigdy nie ma pewności, czy ktoś po cichu nie kapuje. Długo nie byłem na ozecie, ale coś tam już wiedziałem. Jeden dzień w tygodniu każdy złodziej miał wolne. Bydlaki i świnie w pegeerze żarły piątek świątek i złodzieje jeździli do roboty przez okrągły tydzień. Klawisz miał grafik, ile który przerobił i codziennie ktoś szedł na wolne. Tak było we wszystkich grupach. Do tego zostawali jeszcze chorzy, tacy naprawdę i symulanci. Codziennie na pawilonie kręciło się kilkunastu chłopaków. Tylko w niedzielę był spokój: widzenia z rodzinami, a naczelnik miał wolne. Ale w normalny dzień wszyscy ci, którzy nie szli do tyrki, odwiedzali pokoik naprzeciw dyżurki.. Wiadomo, o czym naczelnik podkreślał: ciągle na jedną nutę. A przestań, a po co ci to, grypsowanie to dziecinada, a jak już musisz to powiedz chociaż, co tam w pracy, na ozecie, czy nikt nie planuje ucieczki, a może ktoś komu dokucza, wysyła na lewo grypsy? I co? Może wszyscy mieli twarde dupy?

Słoik z czajem poszedł w ruch. Upijaliśmy po łyeczku, bo inaczej się nie dało. Wrzątku i tak nikt by więcej nie upił, a chciało się – na zapas. Idę o zakład, że żaden z naszego transportu nie powiedziałby, kiedy znów trafi się taka okazja. Jak już było, to lepiej sparzyć sobie gębę, a wypić więcej od innych. Zimnego się nie dało, bo zaraz brało rzyganie i całą przyjemność szlag trafiał.

Piliśmy i nikt nic nie mówił. Dopiero gdy skończyła się pierwsza porcja, odezwał się Paweł. Był zadowolony, że w naszym transporcie nie było prawie frajerów. Dodał, żebyśmy uważali na nawijkę i w ogóle, na to, co robimy.

SMOLARZ

Nie słyszałem, żeby ktokolwiek z cywili w pegeerze powiedział na niego inaczej niż Smolarz. Złodzieje raczej nie odzywali się do niego, a i on nie szukał ich towarzystwa. Był od wszystkiego. Kazali, to jeździł detem, wielkim traktorem na gąsienicach, ubijał trawę w silosie, zajmował się stajnią, naprawiał wozy, zwoził zielonkę z łąk, wywoził gnój z obór. Wszystko umiał i zawsze był potrzebny. Smolarz to, Smolarz tamto. Właściwie złodzieje i cywile nie wchodzili mu w paradę. I nie dlatego, że wyglądał jak z piekła rodem, ale miałem wrażenie, że stoi przed nim ściana; człowiek chciał się zbliżyć, a tu trach łbem o coś twardego. I właśnie najdziwniejsza w nim była ta dwoistość. Z jednej strony strach, ale jak tak zaszło się z drugiej, przyciągało i uroczyło. Niski, żyłasty, z wciąż skudlonymi, czarnymi włosami na głowie. Skóra na twarzy ciemna jak u diabła. Kiedy zobaczyłem go po raz pierwszy, myślałem, że to jakiś zapuszczony lump, który zamelinował się na zadupiu, bo gdzie takiego gałgana do porządnego miejsca? Ale kiedy przyjrzałem mu się lepiej, zauważyłem, że coś jest nie tak. Twarz, owszem, jak u żuła pod budką z piwem, podziurawiona, pomarszczona z niejednym widocznym przechlaniem, nocnym niedospaniem, ale ta jego gęba nie pasowała do reszty. Ciuchy doprane, podniszczone, ale co dzień inne, ogolony, ruchy lekkie jak u chłopaczka, ale nie nerwowe, jakby stary księżulo wybrał się na spacer. Nie mówił wiele. Kiedy brygadzysta dawał mu jakieś polecenie, kiwał tylko głową, że się zgadza, że potwierdza i szedł do roboty.

Od początku, jak tylko znalazłem się w Chojnicach, nie mogłem zrozumieć jednej rzeczy. Dla mnie był to koniec świata. Gdybym mógł, rozwaliłbym to w cholere, nasadził chojaków i zrobił z tego rezerwat. Co ludzi ciągnęło do takich miejsc? Ani zarobić, ani porządnie się ubrać, bo gdzie iść: do kościoła, knajpy, czy do kina? W pegeerze można było popatrzeć jedynie krowie pod ogon. Może przywiązanie do ziemi, tradycja. Babka mówiła mi kiedyś, że najlepiej żyć i umierać tam, gdzie człowiek się urodził, ale pegeerowcy i tego nie mieli. Pozjeżdżali się z różnych stron, dostali po kawałku ziemi, mieszkanie służbowe i wiedli swój zasrany przez krowy żywot. Może tylko dyrektor pegeeru miał trochę oleju w głowie. On to był gość. Zawsze biała koszula, zamszowa marynarka, spodnie z porządnego materiału i gdyby nie gumki na nogach, bo po błocie i łajnie w pantoflach nie bardzo, można by myśleć, że przyszedł na bankiet. A jaką miał gębę? Gładka, ogolona i wypasiona.

W porównaniu z robotami pegeerowymi wyglądał jak ksiądz przy umrzyku, a w dodatku umiał się jeszcze ustawić. Słyszało się co nieco od cywili. Po cichu mamrotali, że pegeer co roku miał deficytu na kilkaset milionów. Co, może nie skasował paru złotych dla siebie? Pokazał się od czasu do czasu, potem jechał do stolicy, załatwiał dotacje, robił kasę, a robole siedzieli po pas w gównie i przyglądali się, jak rogacizna marnieje. Wszyscy się starali, ale o swoje, bo pegeer był czyj? Niczyj. Państwowy. Co lepsza pasza szła na lewo, a krówska żarły podgniłą zielonkę i zatęchłą trawę. Nawet jak były same straty, to kogo oskarżyć? Robola? Może? Czasem, jak ktoś przypalił zwykłego pracownika na wynoszeniu paszy. Zabrali wtedy premię i po sprawie. A jak ginęło sporo, to kogo? Dyrektora? Za co? Przecież ten burdel nie był jego prywatnym folwarkiem. W państwowym straty są zawsze. Należał pewnie do partii, miał układy, a swój swojego broni. Można powiedzieć, że wilki przeredziły nieco stado, trawa słabo rosła, bo deszcze, albo susza i pokrywało się straty z państwowej kasy. Pięćset hektarów ziemi to nie w kij dmuchał: trudności być muszą.

Smolarz jaki był, taki był, ale mógł wyjechać gdziekolwiek, urządzić się, a nie siedzieć za grosze w brudnym pegeerze i wywozić gówna po bydlakach. Znał robotę, a w Polsce fachowców jak na lekarstwo. Nie narzekał, solidny, zawsze w robocie na czas i nie zaprawiał się z rana. Co go tu trzymało?

Minęło parę tygodni, nim dali odpocząć. Łazić tak przez cały dzień po górach, przerzucać widłami trawę bez żarcia i picia, to można się wykończyć. Nie wiem dlaczego, ale któregoś dnia brygadzysta przydzielił mnie na silos. Właśnie wtedy zobaczyłem Smolarza. Siedział w decie, jeździł tam i z powrotem i gąsienicami ubijał zielonkę. Widziałem jakiegoś małego paskudnika w szoferce, ale nic mnie to nie obchodziło. Cieszyłem się, że można posiedzieć i nikt się nie pruć nad uszami, a nawet gdyby chciał, nie było za co. Robota szła w etapach. Co jakieś pół godziny przyjeżdżał traktor ze świeżo ściętą trawą, szofer kiprował towar, a my go rozrzucaliśmy. Reszta należała do Smolarza. Tylko na silosie można było poleserować legalnie. Rozwalić się wygodnie można było, a jakże, ale dopiero po zgaszeniu światła na ciszę nocną. W pegeerze praca i tylko zapieprzanie się liczyło. Na ozecie też wciąż zajęcie; jak nie dyżur na sali, to w kiblu, w szatni, albo obieranie kartofli.

W takim kołchozie wszystko miało inny wymiar niż to, co do tej pory widziałem. Wielkie stodoły, chlewnia, ogromne łąki, stada bukatów i silos, który rósł każdego dnia coraz wyżej. To była dopiero konstrukcja! Dwie ogromne ściany, zbudowane z grubych bali i desek, powypierane długimi tykami, żeby det Smolarza nie rozsadził trawy na boki, stały

równoległe do siebie, oddalone jedna od drugiej dziesięć metrów i ciągnęły się na odległość przynajmniej trzydziestu metrów. Musiało to wszystko być wielkie. Bydlaków co niemiara i żeby nie chodziło tałatajstwo głodne, żarcie szykowaliśmy zawczasu i w dużej ilości. Dojazd na silos można było raczej nazwać taplarowiskiem, a nie drogą. Błoto, koleiny, wyrwy, że traktor ledwo mógł przedrzeć się przez to dziadostwo. Skoro całe lata traktory wciągały przyczepy na silos tą samą drogą, a sok z trawy wyciskany gąsienicami deta łał się na okrętę, to trudno, żeby nie zrobiło się małe bagienko. Czasem trzeba było podkładać dechy pod koła, bo traktor się zaklopsował i ani rusz. Najbardziej lubiłem oglądać silos z daleka. Było w nim coś mrocznego i niesamowitego. Drewniana konstrukcja, bale, dechy i łąty, zżarta przez fermentujący sok i zniszczona przez słońce i wiatr, wyglądała jak wiekowa, obronna palisada w kolorze starych mebli. Robiła wrażenie a zarazem miała w sobie urok. Może budziła wspomnienia? Człowiek bywał czasem w starych winiarniach i łykał trzygwiazdkowego mioducha; widział okopcone beki, stoły z zeszłego wieku, światło ze świec, a teraz marzył i tęsknił za lepszymi czasami.

Na silosie byłem chyba dwa tygodnie i ani razu nie słyszałem, aby Smolarz narzekał, albo skarżył się. Robił, co do niego należało, wciąż patrząc przed siebie. Któregoś dnia zagadnął mnie i poczęstował papierosem. W pewien sposób czułem się wyróżniony: do tej pory nikt nie widział, żeby Smolarz wyjechał do złodzieja z pakulcem, a na dodatek jeszcze zagadał. Nie raz złodzieje próbowali wydebić od niego chociaż pojarkę. Odmawiał. Nie dziwiłem się. Gdyby tak chciał każdego chętnego zadowolić, musiałyby przynosić do pracy karton szlugów. Na wolności pewnie nie zwróciłbym uwagi na taki drobiazg: ktoś częstuje – bierze się i jara. Normalka. Ale tutaj, w tym dziadowskim pegeerze i parszywym ozecie, okrucuch sympatii, deko przyjaźni czy dobry gest, były potrzebne tak, jak haust powietrza tonącemu.

– Adam jesteś? – zagadnął i podał mi papierosa z ręki.

– Tak, a co?

Nie chciałem, żeby wypadło tak ostro i zaczepnie, ale odzwyczaiłem się już od wolnościowej bajery. Jak by tak człowiek siedział od urodzenia w kryminale, nie miałby pewnie pojęcia, że istnieją takie słowa jak: dziękuję, proszę, gdyby pan zechciał. Może takie a, ę, ależ, były gładsze, ale w kryminale z czymś takim nie można było wyjeżdżać. Zaraz komentarze, że lewus, magister albo mądrala. Między złodziejami czy się chce, czy nie, szare komórki we łbie nasiąkają walką, zadziornym gadulcem i kombinowaniem. Pokażesz słabość, zaraz obsiądą jak muchy cukier i zeżrą z gnatami.

SIANO

Słowa Smolarza mocno weszły mi w głowę. Na debila to on może wyglądał, ale na pewno wiedział, co mówi. Chciałem go wtedy, na silosie, zapytać, o co biega, tylko zamiast jego głosu usłyszałem trzask zamykanych drzwiczek i ryk silnika. Nawet gdy machałem ręką, żeby się zatrzymał, udawał, że musi przejechać jeszcze tu, potem tam i posuwał jak wariat do fajrantu, bez względu na to, czy trawa była ubita, czy leżała zwalona luzakiem. Ale w harówie szybko odechciewa się główkowania. Nie było czasu splunąć, bo wciąż poganiali. Jak się zapala do wyczerpania, ma się raczej ochotę gdzieś przekimać, a nie filozofować. Zresztą nie za bardzo miałem głowę do takich rzeczy. Wolałem konkrety. Jak złapałem dziewczynę za pośladki, to wiedziałem, co trzymam, ale jak ona odpychała mi ręce i mówiła o jakiejś miłości platonicznej, o achach, ochach, że może kwiaty, wiersz przeczytać, to miałem ochotę postukać się w czoło i pożegnać z nią na zawsze. Po co komu właściwie mędrkowanie? Zapuszkowali mnie, więc byłem więźniem, a nie marginesem kwalifikującym się do resocjalizacji. Wygłupy też czasem lubiłem, każdy ma jakieś słabości, ale żeby zaraz nazywać to degradacją moralną, życiem poza nawiasem? Jak ktoś miał być nygusem to nim był, a ubieranie tego w mądre słowa mieszało tylko w głowach. A jak komuś nie bardzo szło myślenie, to dobrą bajerą z mądrymi słowami można mu było wcisnąć każde kłamstwo i nawet się nie zorientował, kiedy w bandycie zaczynał widzieć świętego, a na porządnego gościa patrzył jak na zbrodniarza, który nadawał się pod krawat. Babka miała rację, gdy powtarzała, że najlepiej mówić: tak to tak, a nie to nie, bo inaczej świat staje do góry nogami.

W pegeerze ciągle kisonka i siano. Wszyscy zapalali, żeby bukaty nie chodziły głodne i rosły jak najszybciej. Co z tego? Krówska się nażarły, nawaliły, potem szły pod nóż i zapychały nienasycone bebechy głodomorów. Nie było sprawiedliwości na świecie. Żeby chociaż złodziej miał gram tłuszczu z tego, co robi. Niektórzy z klawiszy mówili, że na głodniaka lepiej się pracuje i pomyślunek lotny, ale ja wolałbym zarzucić kawał chabaniny z młodego bysiora: wtedy wigor męski jak siemasz i życie nabrałoby kolorów. A tak co? Złodziej zasuwiał jak dziki osioł i miał z tego jedynie głodówę oraz marnego klocka. Efekt

był taki, że jak poszło się za stodołę, to nawet muchy nie chciały przylecieć, bo do czego? Po smutniaku, kartoflach i maryśce, żołąd wciąż pusty.

Pierwsze siano z łąk trzeba było zwozić do stodół. Kiedy brygadzysta uznał, że najwcześniejsze pokosy są już gotowe, zaczynało się zbieranie. Trawa musiała być taka akurat, że jak się wzięło w rękę szeleściła i pękała. Sporo trzeba było się nawywijać widłami, żeby zielsko przeszło, a jak już doszło do siebie, ładowało się towar na przyczepy i wio do pegeeru. Słońce świeciło przez parę dni, więc robota nie szła na marne, ale czasem było i tak, że trawa już prawie jak krepina, że tylko piczy włos brakował jej do zupełnej suchości, a tu w nocy przychodził deszcz, polewał jak z sikawy i z pachnącego siana robił się parujący klops. Trzeba było robotę zaczynać od nowa i też nie było pewności, że pogoda znów nie zrobi sobie jaj i w ostatniej chwili nie porozwala planów brygadzisty. Dla złodziei nie ma różnicy: mokre, suche w jeden kij dmuchał. Ale osobiście wolałem, żeby szło gładko. Atmosfera wtedy łagodniejsza. Cywile mniej nerwowi, brygadzysta nie latał spanikowany i nie wyżywał się na nas za to, że pogoda dziadowska. Tak naprawdę, zawsze było coś nie tak. Bo gdyby o pogodę jedynie chodziło to palicho, pogoda jak pogoda, raz słońce raz deszcz. W niebie jakoś tam zawsze pozwalali zrobić na ziemi, co trzeba. Tutaj chodziło jeszcze o sprzęt, traktory, przyczepy, urządzenia i dobre chęci. Zawsze jest tak, że jak zbuduje się dom na gównie, to on się szybko rozwali, czy się tego chce, czy nie. A w Chojnicach wszystko stało na czymś śmierdzącym. Wciąż się coś psuło, nie było tego, brakowało tamtego, bo kto miał dbać. Do takiej roboty trzeba było zapału, zamiłowania, żeby wszystko trzymało się kupy. Pamiętam, że jak babka szła na własne pole pielic grządki z warzywami, to oczy jej błyszczały z radości. Doglądała tego swojego zielska, jakby to był jakiś obsraniec w pieluchach, potem zbierała wyhodowane, szła na targ, a jak udawało jej się coś sprzedać, chowała kasę do pitra zadowolona, coś tam liczyła, myślała i wtedy chciało się na coś takiego patrzeć, chociaż ja nie bardzo załapywałem, że z babraniny w ziemi można tak się cieszyć. Zawsze mówiłem, że do gnoju stworzony był cham, a nie porządny człowiek. Pewnie los mnie za to pokarał i sam stałem się chamem w gumofilcach, uwalanym po pachy. Jak patrzyłem na zagony babki, uśmiech sam rozpląwał się po pysku: grządki równiutkie, przejrzyste, czysto, a choć czasem babka też ponarzekała, że za dużo deszczu, za mało słońca, albo przymrozek za mocny przed ogrodnikami, to i tak zawsze jakoś wychodziła na swoje. Ciężko porównać pół hektara babki z masą ziemi w pegeerze, ale wydawało mi się, że chodzi o to samo. Tutaj na żadnej twarzy nie widziałem tej radochy, co u babki. Jedynie Smolarz podchodził do sprawy

inaczej. No, może nie tak, jak babka, ale bez grymasów, jak pozostali cywile. On robił równo, solidnie, powoli i dokładnie – ani się cieszył, ani zajeżał.

Najlepiej, kiedy z rana przydryniło się czajury: robota paliła się wtedy w rękach. Szło jak po maśle. Robiliśmy nieraz między sobą zawody, który z nas nabierze najwięcej suchego trawka i wrzuci go na przyczepę. Czasem kopy na widłach były tak duże, że stylisko gięło się jak witka albo pękało z trzaskiem. Złodziej się cieszył, bo miał przerwę od roboty. Musiał zejść do pegeeru po nowe, więc w czasie drogi odpoczął. Ale czy warto było? Ze złamanych wideł robiła się poruta. Ile wysłuchiwania, straszenia, a odpoczynku w sumie tyle, co nic. No, ale droga w samotności miała jakiś urok. Klawisze wmawiali nam, że zwyczajnie odwalamy leserkę, celowo, by zakłócić rytm pracy. Ale oni zawsze musieli coś powiedzieć, żeby nie wyjść z wprawy.

Najgorszy z konwojentów był Kaftan. Bez przerwy łąził za nami, nawet kiedy robota wypadła pod granicą czeską. Nie odstępował nas ani na krok. Martwił się nami jak pasterz owieczkami. Niby nie poganiał, nic nie mówił, ale dobrze obserwował i na fajrant, bez zmrużenia oka, wypisywał kwity. Ustawiał nas w dwuszeregu, maszerował wolno przed frontem, popatrywał, zastanawiał się, a potem ogłaszał, że ten a ten, za niewydajną pracę, zostaje ukarany raportem. Winnych wskazywał palcem.

Lepszy był Kołtun. Jego widzieliśmy tylko na początku roboty. Mieszkał na skraju pegeeru i pewnie chodził do siebie by tuczyć świnie na państwowej paszy. Nikogo to zresztą nie obchodziło. Najważniejsze, że nie pokazywał swojej wstrętnej gęby. W pawilonie potrafił dać się nieźle we znaki. Kumple mówili, że Kaftan i Kołtun to pestka przy Kurzeli. Wcale nie wątpiłem, chociaż z moją grupą nigdy nie jeździł i całe szczęście. Dosyć go było na pawilonie i gdyby jeszcze trzeba było znosić jego towarzystwo w robocie, pewnie niejeden siwy włos dodatkowo wyskoczyłby na baniaku. Wolał chyba być koło domu. Przy pegeerze Fiksa, tego bliżej ozetu, nie widziałem takich domków jak w Chojnicach. Stał tam szary blok, składany chyba z betonowych płyt i pewnie w nim mieszkali pozostali klawisze. A właściwie kim oni byli? Do porządnej roboty się nie garnęli, wszystko na gotowca: mieszkanie służbowe, ciuchy też od państwa, żadnych odcisków na rączkach, jeszcze pewnie zniżka na opał, elektrykę oraz przydział środków czystości. I wszystkie te dobroci po to, żeby bliźniego kopać w dupę.

Z sianem było różnie. Jak dobrze podeszło, szło na stodoły, a gdy pokropił je parę razy deszcz, wywalane było na silos i nic się nie marnowało. Co nie co już wiedziałem – do czego służy siano, a nawet gdzie się je przechowuje. Niby nie było się czym chwalić, ale jak

trafił się złodziej, który całe życie kręcił się z nabojką po mieście, a mięso dla niego to nie bukat w oborze, który pożera siano, tylko kawał chabaniny na talerzu w knajpie, który kelnerka przynosi z półlitrowką, wtedy czułem się od takiego mądrzejszy. Czasem nawet nie mogłem zrozumieć, dlaczego chłopaki nie mają pojęcia o wsi. Przecież już w elementarzu, w pierwszej klasie, uczą dzieci jak na wsi jest sielsko, anielsko. Że to była lipa – wiadomo. Później zrozumiałem, czemu wieś to dla nich czarna magia. Gdy przychodził taki kozak z listem w rękę i prosił, żeby mu przeczytać, to wszystko od razu było jasne: gamoń. A z gadany, z postawy, człowiek nie domyśliłby się za nic, że analfabeta. Stary, zamiast prowadzić dzieciaka do szkoły, posuwał z nim w miasto na kieszeń albo na włamsko, edukował w fachu, i nie było czasu na szkołę. Lekcje taki miał, a jakże, przy butli, przy panienkach i z gliniarzami. Inteligentny, szybko załapywał, co i jak, i bajerował jak niejednego profesor. Ze mną było inaczej. Posyłali mnie do szkoły, chcieli ze mnie zrobić mądrego, ale ja i tak miałem swoje ścieżki. W rodzinie sami porządni, na państwowych posadach: „rzetelna praca, wysokie morale”. Takich władza lubiła. Pomnażali zasoby kraju, a ja – czarna owca. Mama w zaopatrzeniu, stary gdzieś tam brygadzystą, dziadek na emeryturze, a babka w fabryce i przy domu, na swojej ukochanej działce. Jedynie siostra starego mieszkała na wsi i żyła z babraniny w gnoju. Chętnie do niej jeździłem na wakacje. Dobrze mi u niej było. Najbardziej z tej wsi to lubiłem spanie w stodole, na sianie. Gramoliłem się po drabinie na sások i miałem poczucie, że to najbezpieczniejsze miejsce na świecie. A jaki zapach: mroczyło do kości. Na drugim sásoku wujek układał zwykle snopki wymłóconego żyta. Tam już nie lałem. Ze słomy wylażą kolki i wystarczy przewrócić się na bok na czymś takim, a miało się wrażenie, że ktoś strzykawkę łąduje w cielsko.

Gdzie tam stodoły w pegeerze do prawdziwej wiejskiej stodoły! Jak już się u ciotki wpakowałem na górę, na siano, i leżałem cichutko, stodoła była jak żywe stworzenie. Z dachu dochodziły jakieś chrobotania, świergot wróbli, które mościły sobie w słomianej strzesze miejsca do spania. Ściany obite deskami trzeszczały, pracowały od porannej rosy, albo południowego słońca. Na dole po klepisku ganiały myszy, przepędzane czasem przez kota, a kiedy ktoś przejeżdżał drogą, zaraz słychać było dźwięk łańcucha i ujadanie psa. W pegeerze stodoły były jak fabryki. Na dole hala z rzędami stanowisk dla bydła, na górze miejsce do składowania siana. Otynkowane ściany, pobielane wapnem, przypominały więzienną szpitalkę, gdzie panuje porządek i nie ma miejsca na nic, co jest wbrew regulaminowi. Jedynie gniazda jaskółek poprzyklejane na łączeniach ścian ze stropem przypominały, że są gdzieś jeszcze prawdziwe stodoły.

JESIEŃ

Jesień wszędzie jest chyba jednakowa. W domu, w kryminale, na wczasach, czy w kawiarni przy stoliku, zawsze człowiekowi chce się spać, plucha daje się we znaki, wciąż mokro i zimno. W telewizji mówili czasem o polskiej złotej jesieni, ale ja tam miałem własne zdanie na ten temat. Gdy nie trzeba zasuwać w polu czy przy kopaniu rowów, tylko siedzi się w ciepłym pokoju przy kawce, za biurkiem, z książką, to może jesień jest złota, a nawet brylantowa. Mnie jakoś nigdy nie spotkała przyjemność oglądania złocistej pogody. I owszem, na wolności, jak popiłem wina albo poszedłem na randkę z dziewczyną, to nawet gdy lało cały dzień, świat rzeczywiście nabierał żółtych kolorów. W pegeerze, niech jasna cholera weźmie jesień, byki i wszystko, co się rusza. Tutaj był jakiś dziwny klimat. W maju padał śnieg, a jesienią ziąb gorszy niż w największy mróz.

W październiku, tak pod koniec, złodzieje zmieniali ciuchy z letnich na zimowe. Wszystko jedno, mógł być nawet ostry mróz, a i tak nikt wcześniej nie dostał z magazynu ciepłego ubrania. Może na nizinach taki system się sprawdzał, ale nie w Chojnicach. Nim człowiek wskoczył w kalesony i grubą podkoszulkę, trzeba było się bujać w cienkich szmatach, czekać na regulaminową datę i trząść się z zimna jak galareta w spodku. Niektórym przysyłali paczki z ciepłymi rzeczami, można było, a jakże, ale co z tego? Jak złodziej wpasował się w takie ciuchy podbite flanelą przed terminem, to owszem, jak u matki za piecem ale gdy klawisz przypalił, że w trefnym do tyrki, kasował ciuchy i kwit do akt. Oni myśleli, że skoro sami podgrzewają sobie plecy piecykami elektrycznymi i jest im ciepło, to innym tak samo. Jak robota pod dachem, to w cienkim podkoszulku i drelichowej bluzie szło jeszcze wyrobić, ale kiedy trafiło się posuwać na jakimś wzniesieniu, gdzie wiało ze wszystkich stron i nie można było schować się za cokolwiek, to nawet nie wiem jak wyteżał by gały, jesień zawsze była szara, a nie złocista.

Jesienią silos z trawy był już pełny. Teraz przychodziła pora na kukurydzę. Kukurydza jest najlepsza, gdy przewieje ją jesienny chłód. Niby rośliny głupie, nie mają rozumu, a jednak potrafią obronić się przed zimnem. A złodziej? Kazali mu wyjść w cienkich gaciach i drelichu na wiatr, kazali zapieprzać przez osiem godzin, to zapieprzał, siedział cicho i był bezradny. Pewnie, można było odmówić pracy, ale co to za interes? Zaraz czternaście twardego i działka dziennego żarcia obcięta do połowy. W

dodatku cela dyscyplinarna nie ogrzewana, bez szlugów i jeszcze klawisze nigdy nie zamykali okienka. Ziab jak w lodowni. A kukurydza? Z ziemi wyciągała glukozy ile chciała, ładowała kalorie w liście, w łodygi i zimno mogło jej nagwizdać. A jakże, gwizdało i to jeszcze jak, na swych wąsatych kolbach, na pohybel złodziejowi. Z kukurydzą to nie tak jak z trawkiem. Gdy skosili i zwieźli na silos, to z tym za wiele roboty nie było. Kombajn jechał równiutko, ścinał spokojnie, rurą wylatywała pocięta kukurydza, spadała na przyczepę, potem na silos i nawet ubijanie trwało szybciej. A najważniejsze, że nie trzeba było bujać się z widłami po górach i przetrząsać jej. Gdzie tam silos z kukurydzą do silosu z trawą. To tak jak pchła przy psie. Ale nie mogło być inaczej. Z kukurydzą należy ostrożnie. Niby wyrośnie byle gdzie, a jednak swoje kaprysy ma: czasem obrodzi, czasem nie. Bywało, że część ziarna nie wschodziła i wtedy takie pole wyglądało jak łeb Kołtuna: trochę włosów, trochę glajfy. Taki widok raził; wielkie, zielone pole, a tu w kilku miejscach łyse place.

Nakładów przy kukurydzy też sto razy więcej niż przy trawie. Trzeba kupić ziarno, zaprawić chemią przed zgnilizną i robactwem, zasiać, podsypać azotem, fosforem i kto wie jeszcze, jakim gównem, a na końcu oblewać śmierzdzącym świństwem, żeby zaraza nie zżarła. A z trawą? Nic. Rosła sobie jak Pan Bóg przykazał, wystarczyło ściąć i po krzyku. Żarcie dla bydłaków prawie za darmola. Ale krówska chętniej wcinały kukurydżę. Skoro tylko poczuły jej zapach, zaraz podnosił się ryk w oborze, zupełnie jak na jarmarku w niedzielę, przed kościołem, gdy bachory obdarowane gwizdkami i piszczałki dmuchają jak opętane. Więc mimo wszystko, warto było się trudzić.

Nie miałbym nic przeciw kukurydzy, gdyby nie zbieranie pozostałości po jej skoszeniu. Kombajn nie zawsze robił do czysta. Może ktoś wymyślił urządzenie do zbierania resztek, ale tutaj na pewno czegoś takiego nie było. I pewnie to też nie byłaby najgorsza robota gdyby wypadła wiosną albo latem, ale jesienią sprawa była przechlapana. Gdy zawiął jesienny wiatr, to tylko się pochlastać. Do tego letnia przyodziewa. Człowiek chodził po wzgórzu, zbierał gołymi, zgrabiałymi rękami pocięte łodygi kukurydzy, wrzucał je na przyczepę i modlił się, żeby znaleźć się jak najszybciej w Paryskiej. To był dla mnie koszmar. Żarcia i tak dawali mało, ale na zimnie czułem, że właściwie w ogóle nie jem. Ziab, żołąd pusty i po godzinie zbierania – zginanie, wyprost, zginanie, wyprost – cała energia, całe ciepło uciekało z człowieka na przyczepę razem z kukurydzą. Odechciewało mi się żyć. Kombinowałem, jakby tu wywinąć się od roboty. Postanowiłem zachorować i miałem nadzieję, że tak się stanie, bo nie mieściło mi się w głowie, żeby o głodnym pysku, w chłodzie, bez witamin, nie złapać grypy. Na wolności trochę mnie zawiąło, napiłem się zimnego z gazem i już byłem ugotowany: migdałki jak malowanie. A tutaj na złość nic, i nie

tylko tutaj. W ogóle miałem jakieś parszywe szczęście. Gdy czegoś bardzo chciałem, to to nie przychodziło. A z niechcieniem było na odwrót. Przecież wcale nie pchałem się do kryminału, a jednak w nim siedziałem. Czasem sobie myślałem, że jeśli by tak człowiek przed dyskoteką odmówił sobie wina czy piwa, żeby zrobić na złość losowi i przekornemu szczęściu, to czy w zamian otrzymałby radosne kołowanie w głowie? Próbowałem, a jakże, ale jakoś nie działało się zgodnie z regułą. Może trzeba było trochę czasu, dłuższego chodzenia bez wypitki, by los uśmiechnął się do mnie. Wino przecież też nie od razu mi smakowało. Pamiętam, jak pierwszy raz się napiłem – rzygałem jak kot, a na drugi dzień nie mogłem poruszyć głową.

Celowo piłem lodowatą wodę, i nic. Wiatr przedmuchiwał na wylot, też nic. Może w górskim powietrzu były jakieś witaminy, albo ciężka robota hartowała cielsko? W każdym razie moje życzenia się nie spełniały. Któregoś dnia nawet zasymulowałem. Zjadłem surowego ziemniaka, natarłem pachę solą, bo tylko wtedy, gdy ktoś miał gorączkę, mógł zostać na pawilonie. Zgłosiłem, że chcę do lekarza. Zmianę miał akurat Kurzela. Nie krzyczał, nie gadał, że jestem symulant, kazał jedynie zmierzyć temperaturę. Stałem na dyżurce z termometrem pod pachą pod jego czujnym okiem. Nie mogło być fuszerki. W domu oszukiwałem matkę, jak nie chciało mi się iść do szkoły. Ładowało się dziobek do ciepłej herbaty i w sekundę temperatura była jak siemasz. Z klawiszem taki numer nie przechodził, ale na szczęście ziemniak i sól jakoś zadziałały, rtęć podeszła pod trzydzieści osiem. Myślałem, że poleżę sobie tego dnia jak gościowa, bo gdy temperatura była powyżej trzydziestu siedmiu i pięć, można było marzyć o wizycie w pokoiku ambulatoryjnym. Ale Kurzela okazał się starym wróblem i na końskie gówno się nie złapał. Kazał mi wetknąć termometr w odbyty. Na łeb upadł. Może miałem tak stać przed nim ze szpikulcem w dupie i czekać czy łaskawie zezwoli mi zostać? Powiedziałem mu, że już wyzdrowiałem, że czuję się lepiej i idę do roboty. Na pożegnanie ostrzegł mnie, że jak następnym razem nie uda mi się go oszukać, zaliczę kwit bez pudła.

OBORY

Już myślałem, że w pegeerze nie spotka mnie nic dobrego. Ciągłe przeszkody, zimno, głód, nic, tylko się wydyndać. Czy nie mogłoby chociaż raz ułożyć się tak, jak bym tego sobie życzył? Tylko z życzeniami nie wiadomo, jak jest. Bo co one oznaczają – czym są? Ostatnio zaczynałem się czuć jak uczeń; ciągle ktoś zadawał mi pytania, a ja musiałem szukać odpowiedzi. Nieźle się zdziwiłem, gdy pojąłem, że nie żaden profesor mnie przepytuje, ale to ja, osobiście. Byłem jednocześnie nauczycielem i uczniem: coś jakby bajer sam na sam. Niby życzenia to były życzenia i już, a jednak coś nie grało. Gdy wysiliłem przez chwilę głowę i starałem się powiedzieć, czego właściwie naprawdę sobie życzę, to za chińskiego boga nie mogłem doszukać się grama pewności. Zajarać? Przydrynić czajury? Pełny żołądek? No, tak, tego chciałem, ale gdy tylko życzenie się spełniało, a przynajmniej myślałem, że tak jest, okazywało się, że wcale nie jestem na mecie. Jakoś tak mi się skojarzyło, że życzenia rybaka do złotej rybki wcale nie były życzeniami, tylko łapczywym dziadostwem, które ginęło tak szybko, jak się pojawiło. Przez chwilę czułem się, jakbym sam był rybakiem, którego pazerna żona wysyła wciąż po nowe fanty. Moje chcenie rodziło nowe życzenia i prowadziło nie wiadomo gdzie. Gdy szedłem się pobawić i wiedziałem, że spotkam jakąś przystojną dzierlatkę, to cieszyłem się i myślałem, że nic więcej do życia nie potrzebuję, że wystarczy tyle, ile będzie, ale gdzie tam. Siedział we mnie podpowiadacz i mówił, żeby więcej, jeszcze i jeszcze: zupełnie jak z winem. Nie raz obiecywałem sobie, że wypiję browar, i koniec: przecież nie byłem świnią, co to żre do pęknięcia. A jednak nie dawałem rady zahamować: jak już zaczynałem łykać to do spodu.

Teraz sobie życzyłem, żeby dostać robotę pod dachem, ale nawet przez myśl mi nie przeszło, że w moim życiu cokolwiek zmieni się na lepsze. Szło na gorsze. Zima rozkręciła się już na dobre i jazda w mróz po siano ze stogu, albo kiszonkę z silosu, nie była żadną radochą. Ręce marzły jak jasna cholera, w nogi zimno i wciąż wiało. Nagle, jak piorun z jasnego nieba, spadło na mnie szczęście: przerzucili mnie na obory. Nie miałem pojęcia, komu to zawdzięczam. Myślałem, że może Smolarz szepnął komuś słowo, żeby polepszyć mój żywot, ale nie było pewności. Zresztą wątpię. On nie nagiął wydarzeń własną wolą. Po prostu nie miał życzeń. Odkąd go poznałem, wydawało mi się, że przyjmuje życie tak, jak

płynie. Nie chciał go pogarszać ani polepszać, zupełnie jakby miał pewność, że i tak, bez względu na włożony wysiłek, nie spotka go nic ponadto, co go spotyka.

Nie wierzyłem, że przydzielili mnie na obory i mam tyrkę pod dachem, i to jeszcze w takim momencie, kiedy mróz skuwał coraz mocniej. Gdy jechałem Paryską i patrzyłem na nowych złodziei, którzy zaczynali dopiero karierę w pegeerze, w grupie polowej, to żal mi ich było i współczułem im. Pewnie nie mieli pojęcia, co ich czeka. Mnie też na początku wydawało się, że nie przywieźli mnie do kryminału, a do górskiego sanatorium. Czar pryskał już po pierwszym dniu. Niejeden sobie myślał, że po zamkniętych celach na śledczakach, murach, blendach i kratkach, znaleźli się w uzdrowisku i przyjechali tu tylko po to, żeby się dotlenić. Z tym mieli rację; świeżego powietrza w Beskidach nie brakowało. Ale na tym przyjemna kuracja się kończyła. Zaczynał się smród i twardy trzonek wideł. Niepozorny pawilon, siatka zamiast murów, przestrzeń, lasy, prawie bez dozoru, ale niejeden przejechał się na takim wyobrażeniu. Na pierwszy rzut oka ozet i pegeer wyglądały przyjaźnie, lecz gdy człowiek zanurzył się w tym wszystkim, szybko zauważał, że znalazł się w gównie, które jest nadzwyczaj śmierdzące i uciążliwe. Ja zaczynałem wiosną, kiedy słońce coraz mocniej przygrzewało, a ci nowi, którzy dopiero jechali pierwszy dzień i zaczynali resocjalizację w pegeerze, na nieszczęście wpasowali się w środek zimy. Ze szczęściem sprawa też nie wyglądała na prostą. Nie tylko przy życzeniach miałem wątpliwości, ale i stan radości wymagał główkowania, jakby moje patrzenie na świat, które wyrobiłem sobie jeszcze na wolności, waliło się i było niepotrzebne. Coraz częściej dziękowałem losowi, że mnie bije porządnie w dupę. Im miałem gorzej, tym częściej zadawałem sobie pytania, dlaczego tak jest, a jak już coś się działo, to po co? Komu właściwie zależało na tym, żebym się męczył? Tak naprawdę nikt nikim się nie przejmował; musiałbym być chyba kretynek, żeby uwierzyć, że ktokolwiek zaplanował moje życie i ułożył je właśnie tak, jak przebiegało, że najpierw się urodziłem, potem balowałem, a teraz siedzę w kryminale. Kim ja byłem właściwie? Nikim! Nic nie mogłem i niczego nie byłem w stanie zmienić. Więc jaki to miało sens? Lecz z drugiej strony musiało komuś na tym zależeć, bo przecież żyłem, urodziłem się i coś tam w życiu jednak zrobiłem. Więc sens był. Tylko nie wiedziałem, kto to wszystko ustawia. Babcia mówiła nieraz, podczas licznych świąt rodzinnych, że wszystko zależy od Boga, ale ja w takie bzdury nie wierzyłem. Jakiego Boga? Rano pacierz, a wieczorem chłanie na umór, kłótnie i wyzywanie. I żeby tylko w mojej rodzinie odstawiali takie szopki, ale wszędzie, gdzie się poszło, zaraz chłanie, wyszydzenie i kombinowanie, jakby tu kogoś wykręcić. Do babki nic nie miałem, ale widziałem, jakie jest życie. Dziadek bez przerwy myślał, czym by się zaprawić, a jak był trzeźwy, to warczał jak pies i wciąż był niezadowolony. Ale klękał z babką do pacierza,

chodził do kościoła, a jak otwarcie powiedziałem, że gdzieś mam taką wiarę, że to fałsz i zakłamanie, to powiedział że jestem heretyk i źle skończę. No i sprawdziło się. Przestroga nie poskutkowała, zostałem kryminalistą, ale jakoś nadal nie pojmowałem takiego układu ze światem.

Obora to nie tylko budynek, w którym trzyma się towar pod nóż. Gdy jeszcze byłem w grupie polowej, myślałem, że obora służy do chowania się przed zimnem i zajeżdżania czajury. Nie miałem pojęcia, że obora ma swoje życie, kaprysy i namiętności. Z trawskiem, z silosem czy kukurydzą, było inaczej. Tam miał człowiek do czynienia z czymś, co się nie ruszało, tylko leżało martwe i poddawało się bezwolnie. A w oborze jak na targu, wciąż się coś działo po obydwu stronach: złodziej i rogacizna.

KONIE

Czternaście dni urlopu. Nawet w kryminale przysługuje odpoczynek po roku ciężkiej pracy. Oczywiście nikt mi nie zaproponował tego, co się każdemu należy. Przecież nie ja układałem regulamin, więc o co chodzi? Sam upomniałem się o swoje, bo inaczej mógłbym oblizać się wakacjami. Naczelnik pozytywnie rozpatrzył prośbę, ale z wielką niechęcią. Oni myśleli, że jak przestępca, to co? Wypruć flaki, a robić?

Na urlopie to człowiek jest gość. Że nigdzie nie wyjechałem do kurortu? Nic nie szkodzi. Siedzenie na ozecie było dla mnie czymś więcej niż kurort. Wreszcie mogłem legalnie poleżeć i nie martwić się niczym. Dyżury mnie nie ruszały, na telewizję chodziłem, kiedy chciałem, bo wypracowane, i żaden klawisz nie mógł mi zabronić. Byłem tak zmęczony po roku zasuwania, jak bym pił przynajmniej miesiąc. Na śledczaku człowiek nic nie robił i też było źle. Co za życie? Wciąż leciałem albo w jedną, albo w drugą stronę. Po takim szarpaniu czułem się jak wymięta ściera.

Wokół mnie zaczęło się dziać coś dziwnego. Aż trudno uwierzyć. Paweł z Piotrem pojechali w transport i mnie dostało się szpącenie na ozecie. Nie od razu dotarło to do mnie. Zostałem najważniejszym grypsującym! Nie przypuszczałem, że kiedykolwiek spotka mnie coś takiego. Nie byłem fanatycznym wyznawcą grypsowania, ale bycie po drugiej stronie jeszcze mniej mnie pociągało. Sam naczelnik mnie wezwał i złożył gratulacje: szybko rozchodziły się tajemnice grypsujących. Na początku kpił w żywe oczy, ale później zmienił ton rozmowy. Mówił, że wierzył we mnie i że zdolna ze mnie bestia. Wyraził uznanie, że nie załamałem się i dałem radę przejść przez polówkę, obory i wszystkie kłody, które waliły mi się pod nogi. Dodał, że czasem sam podstawiał mi nogę.

– Ale... – powiedział.

I to jego „ale” nie wróżyło nic dobrego. Mówił coś o trudach, że jeśli człowiek jest wytrwały, to zawsze przychodzą lepsze dni, lecz jeśli chodzi o mnie, to żebym za bardzo się nie cieszył, bo sytuacja, w której siedzę po uszy, jest złudna.

– Urlop, szpącenie, odsiedziane półtora roku – mówił – ale zostaje jeszcze tyle samo.

Wspomniał, że należy mi się już warunkowe zwolnienie i właśnie na wokandzie skupił się najbardziej. Nie wiedziałem, czy znowu chce mnie oszukać, czy jest szczerzy.

Czułem, że ma dobre intencje i przedstawia sprawę bez kręcenia. Tak, należała mi się wokanda, stałem mocno na ozecie i w pegeerze, niejeden złodziej mógłby mi pozazdrościć, ale według niego były to jedynie moje wyobrażenia. Bo kim ja byłem w kryminale? Wmawiał mi, że moje miejsce jest na wolności, a nie za podwójnym pasem siatki.

– Kryminał jest dobry dla debili i tych, co nie myślą, albo dla tych, którzy chcą się czegoś nauczyć, a jeśli ci ostatni zrozumieli pewne rzeczy, niech wyskakują z szamba, jeśli jest taka możliwość.

Miał rację, ale co z tego, skoro nie wiedziałem, co dalej. Nawet przestały mnie fascynować więzienne pogaduszki. Świat, który ujrzałem w książkach, język, który dzięki nim poznałem, kłócił się z tym, co otworzyło się wewnątrz mojej głowy, gdzie do tej pory nie było żadnych sensownych myśli ani delikatnych uczuć. Miałem ochotę być szczery i mówić tak, jak naprawdę czułem. Nawet nie pamiętałem, kiedy naprawdę chciałem coś takiego zrobić. Zagrałem z nim w otwarte karty. Uwierzyłem w jego dobre intencje i zapytałem, co mam w takim razie zrobić.

– Przestać grypsować.

Nie oburzałem się już tak, jak na początku wyroku, na podobne propozycje. Kiedy przyszła myśl, że już za miesiąc, może dwa, znajdę się na wolności, to nieźle mną ruszyło. Rwałem się do domu jak nigdy dotąd. Ale wewnątrz coś protestowało przed przystaniem do tych gorszych. Bo gdybym od razu został jednym z nich, to czułbym, że jestem w porządku, tylko ja nie chciałem i zrozumiałem, jaki był jeden z powodów. Większość złodziei w kryminale grypsowała – prawdziwie czy nie, to już inna sprawa. Nie chciałem się wyłamać, być innym. Bałem się, że ktoś nazwie mnie frajerem, że będę jadł przy oddzielnym stole, a złodzieje powiedzą, że nadstawiam dupy dla wokandy. W pewnym momencie przyłapałem się na przestawianiu zwrotnicy we łbie. Zacząłem wymyślać, że niby dlaczego mam być wierny jakimś zasadom, skoro one obowiązują w więzieniu i są przestrzegane przez złodziei. No bo jak to tak? Ja, chuligan, kryminalista, miałem się powoływać na zasady i trwać przy grypsowaniu? Komu to było potrzebne i co właściwie mi dawało?

Naczelnik zauważył, w jakim jestem stanie. Nie rozkręcał dłużej moich emocji. Powiedział, że wcale nie muszę podejmować decyzji, że mam czas, a na razie przynosi mi z obór na stajnię i na najbliższej komisji kwalifikacyjnej wystąpi z wnioskiem o przydzielenie mi grupy M3. Zaskoczył mnie zupełnie. Miałem urlop, zostałem szpącicielem, a jeszcze wpadła mi robota bez dozoru. Niemal jak cywil. Poczułem w sobie tę wolność, chciałem być teraz z kumplami, opowiedzieć im o swoich wyczynach, pochwalić się całemu

światu, co potrafię, jaki ze mnie kozak i że nie ma dla mnie rzeczy niemożliwych. Zachłysnąłem się bez reszty myślami o wolności. Przez półtora roku czekałem, wypatrywałem, kiedy mnie zwolnią, a gdy miesiące leciały, dłużyły się, a dzień wyjścia pozostawał nadal odległy, nabrałem przeświadczenia, że wolność pewnie przyjdzie, tylko kiedy i czy na pewno? A teraz, gdy naczelnik przed czasem pokazał mi kawałek wolności, że już niemal za chwilę wrócę do domu, że wystarczy wyciągnąć rękę i nacisnąć klamkę od swojego pokoju, zapragnąłem wydostać się z ozetu, z pegeeru i z całej tej mordęgi. Gdyby mi podsunął teraz oświadczenie, że przestaję grypsować, nie zastanawiałbym się sekundy i podpisał – ale on nie nalegał.

Kiedy wróciłem na salę, ochłonąłem. Było nie było, tkwiłem w grypsowaniu ładnych parę miesięcy, grałem pierwsze skrzypce w tej kapeli, jakieś tam zaufanie pokładali we mnie niektórzy złodzieje i teraz miałbym się wypiąć na to wszystko? Ciekawiło mnie, dlaczego naczelnik zaczął być takim szczerym tatusiem. Może nie mógł znieść, że jego statystyka się nie zgadza, że są na ozecie złodzieje, którzy na przekór jego poczynaniom grypsują, jak grypsowali i wcale nie mają zamiaru z tego rezygnować? Mimo wszystko postanowiłem napisać podanie o warunkowe, przedterminowe zwolnienie. Nie bardzo wiedziałem, jak się to robi, napisałem więc list do domu, żeby mama poszła do adwokata i żeby on takie pismo w moim imieniu wysłał do tutejszego sądu penitencjarnego. Klamka zapadła. Teraz trzeba było tylko czekać i uzbroić się w cierpliwość.

Urlop miałem z głowy. Rozmowa z naczelnikiem o wcześniejszym wyjściu rozplynęła się po całym cieple i nie dawała spokoju. Telewizja przestała mnie bawić, leżenie w łóżku do południa straciło już urok – nawet na książki straciłem ochotę. Chciałem działać. Wymyśliłem sobie, że dobrze by było zorganizować chłopaków w jakiś porządek, żeby mniej było niedomówień i awantur między grypsującymi. Do tej pory wszystko zdane było na żywioł i wiedziałem, że z braku organizacji panuje prowizorka. Wyzaczyłem na każdej sali grypsującego, który miał pilnować przestrzegania zasad i w razie czego rozstrzygać ważniejsze problemy i jak trzeba by było kogoś obić za wychyłkę, to żeby na miejscu załatwiał sprawy, a nie biegał z każdą rzeczą do mnie. Ja miałem tylko rozsądzać najważniejsze sprawy: schować kogoś do wora albo nie. Ale już po tygodniu przejadła mi się taka partyzantka. Przez całe półtora roku nie patrzyłem na grypsowanie tak, jak teraz. Od kiedy mogłem ustalać, że ma być tak, a nie inaczej, że jakieś słowo jest wychyłą, a inne nie, wtedy grypsowanie wydało mi się strasznie śmieszne. Bo o co właściwie w tym grypsowaniu chodziło? O wspólnotę, która przeciwstawia się murem administracji? Bzdury! Żadnej wspólnoty nie było. Mit o sztywnych grypsujących dotyczył może jakichś

pojedynczych, samotnych złodziei, którzy ze swojego fachu zrobili cel życia. Cała reszta myślała, jakby urządzać się najwygodniej, lekko odsiedzieć swoje i wyjść szybko na wolność. A może celem grypsowania było wykluczanie z rozmów pewnych słów i zastępowanie ich czymś wymyślnym, żeby upokarzać innych i mówić, że jest się lepszym od drugiego i w ten sposób, za wszelką cenę, zdobywać pewność, że ma się jakąś wartość? Bo gdy człowiek tak szczerze spojrzał w siebie, to co widział? Zwykłego gnoja, który trzęsie się z byle powodu i tylko strach karze omijać to, co w człowieku wartościowe, wykazywać sobie samemu, że jednak jest się kimś. A kiedy już człowiek dojrzy, że zamiast mózgu ma trzęsącą się galaretę, zaciera ślady swojego odkrycia i ucieka przed sobą wywijając rękami na prawo i lewo. Mało kto godzi się na coś takiego – nie chce słyszeć, że jest małym pyłkiem, którego w każdej chwili los może rzucić byle gdzie i byle jak, a nawet zgładzić i nie będzie miał nic do powiedzenia. Lecz z drugiej strony nie chciałem tak myśleć. Przestałem już orientować się, czy aby moje kręcenie nie wynika z chęci wcześniejszego wyjścia i czy przypadkiem nie zaczynam się rozgrzeszać już teraz, żebym później, jak przyjdzie co do czego, był już oswojony z myślą, że jednak nie jestem świnią, że nie zdradzam niczego ani nikogo, bo właściwie deklaracji o grypsowaniu żadnej nie podpisywałem, ani nikomu nie przysięgałem. Miałem dość siedzenia beczynnie na ozecie i zastanawiania się, co by było gdyby. Chciałem wracać do roboty. Zmęczyć się, uspokoić i na chłodno zobaczyć, o co mi naprawdę chodzi. Przerwałem urlop i wróciłem do pracy.

Naczelnik nie oszukiwał. Naprawdę zacząłem pracować przy koniach. Od tego momentu byłem prawie jak na wolności. Żaden klawisz za mną nie łąził. Gdy tylko wysiadałem z Paryskiej, byłem panem samego siebie. No, nie tak zaraz, że robiłem co chciałem, musiałem przecież czymś się wykazać, bo robota przy koniach to nie leżenie w stajni. Do stałych zadań należało wywożenie krowiaka z obór, przywożenie zielonki albo kiszonki, no i jakieś inne fuchy, które zlecał brygadzysta.

JABŁKOWIN

Po ozecie rozniosło się, że naczelnik organizuje nową grupę roboczą. Nie wiadomo, skąd się wzięły te wieści. Najpewniej od złodziei z Kamic, których przywieźli parę dni temu. Nieźle chłopaki nawijali. Nie wiem, nie mogłem zaprzeczyć, bo nie byłem w Kamicach, ale z tego, co mówili wynikało, że Chojnice są najgorszym ośrodkiem w Beskidach. Nawet w Suchej, gdzie mieścił się główny zarząd trzech ośrodków i gdzie przywozili świeże transporty ze złodziejami z Polski, decydując w jakim miejscu chłopaki mają zacząć swoją resocjalizację, można było jakoś wytrzymać. Tak przynajmniej widzieli Chojnice ci, co przyjeżdżali z Kamic, z Suchej, a nawet z dalszych ośrodków rozrzuconych po całych Beskidach i Bieszczadach. Było to dla mnie trochę dziwne, bo przecież w Chojnicach też można było jakoś się ustawić i żyć nie najgorzej. Nikt nikogo tutaj nie maltretował, nie zabijał... Zadupie – trudno. Nie zawsze człowieka rzuci los tam, gdzie ma ochotę. Pegeer też miał swój urok. Nie powiem, słuchałem z zainteresowaniem ich zachwyty, jak to w Kamicach, w grupie na kolei, przy remoncie torów, robota cud malina. Opowiadali, że jak trafiło się robić bliżej miasta, można było wyłudzić coś od cywili, wytargować od jakiegoś przechodnia papierosa, no i umówić się na spotkanie z dziewczyną albo z rodziną. W mieście to w mieście, a nie na jakiejś tam pipiduwie, w pegeerze, że nigdzie łba schować, tylko pastwiska, byki i smród.

Coś tam też przebąkiwali, że praca ma być w Jabłkowinie, wytwórni win, dżemów i soków owocowych, ale nikt z nas w takie plotki nie wierzył. No bo jak tak? Przestępcę do wina? Żeby zaraz dorwał się do alpaga, nawalił jak autobus i narobił awantur? Nie daj Bóg, bo jeszcze mógłby kogoś zaciąć nożem, albo rzucić się na jakąś dzierlatkę. Nie, taki numer u mnie nie przechodził. Pytałem, dlaczego nie biorą chłopaków z Kamic, przecież bliżej, prawie na miejscu, do nas było chyba z pięćdziesiąt kilometrów, a między przestępcami żadna różnica. Złodziej wszędzie jednakowy. Przyznawali rację, ale tłumaczyli, że tamtejszy naczelnik bał się, że chłopaki za bardzo znają teren i mogą być same kłopoty. Nie wierzyłem, że coś takiego zdarzy się na tym pustkowiu. To nie miało sensu. A jednak myliłem się.

Po kilku tygodniach od pierwszych sygnałów o nowej grupie, naczelnik zaczął wzywać złodziei na rozmowy. Już po jednym spotkaniu w jego gabinecie sprawa się

wyjaśniła i wiadomo było, że chłopaki z Kamiec nie kłamali. Na ozecie zaczął się ruch. Złodzieje zaraz kombinowali i wymyślali historyjki o tym, jak ma tam być cudownie, że robota między ludźmi i każdy wiedział lepiej od drugiego. No tak, dobrze było pożyć chociaż przez chwilę w lepszym świecie, nawet tym wymyślonym. Bo to nasze, co przegadane: ten świat nie był przeznaczony dla grypsujących. Nie łudziłem się, że naczelnik wyznaczy choćby jednego z naszych chłopaków. Ale i tym razem się pomyliłem. Kiedy wezwał mnie do siebie i zaczął wypytywać, w jaki sposób bym się zachował, gdybym mógł pić wino, to już wtedy zacząłem przeczuwać, że dzieje się inaczej niż zwykle. Na początku nie wiedziałem, o co chodzi. Chciałem mu powiedzieć, że pewnie z moimi manierami po tak długim poście nie byłoby najlepiej, ale jak domyśliłem się, że chodzi o nową robotę, że bada grunt, zrezygnowałem z próby kabaretowych rozmów i postanowiłem rozmawiać porządnie. Chciałem go zapewnić, że jestem już innym człowiekiem, że to nie w moim stylu, że tak naprawdę już sobie obiecałem, że alkoholu do ust nie wezmę, bo wciąż same kłopoty, ale takie gadanie też wydało mi się niestosowne i byłem prawie pewny, że on tego nie przełknie. Znaliśmy się już co nieco, więc pomyślałem, że nie warto się zgrywać i jeśli mam coś wskórać to tylko wtedy, gdy wyrzucę na stół wszystkie swoje karty. Zresztą, tak bardzo nie zależało mi na tej robocie, bo przyzwyczałem się do moich kobyłek. Miałem spokój, wiedziałem, co robić i na żadne zmiany nie chciałem się pisać. Ale gdzieś tam w głębi opowieści o Kamiecach zapadły i pobudzały wyobraźnię. Dobrze mi było bez tych ciągłych zmian, wirowania na karuzeli i zaczynania wciąż wszystkiego od początku. A jednak czułem, że siedzenie w jednym miejscu przygniata mnie i nie pozwala oddychać. Poznałem już siebie na tyle, że nie przyrzekałem sobie niczego. Wiedziałem, jaką mam naturę – parła do przodu i wciąż chciała nowych wrażeń. Długo na tyłku i tak bym nie wytrzymał. Nauczyłem się, że życie się zmienia, nic nie stoi w miejscu, a jak człowiek stara się zatrzymać coś w sobie, co mu się podoba, z czym mu jest wygodnie, wtedy szybko dochodzi do wniosku, że to jednak nie to i zaczyna szukać nowych wizji, nowego szczęścia, żeby nie czuć się znudzonym, i żeby życie nie straciło sensu.

Z bólem serca myślałem o moich kobyłkach, ale Jabłkowiń nęcił i gdy naczelnik spytał, czy chcę pracować na nowej grupie, nie odmówiłem. Moje życie znów się odmieniło. Ja i jeszcze dziewięciu chłopaków staliśmy się od razu złodziejami lepszej kategorii. Dali nam nowe mundurki, buty prosto ze sklepu, podkoszulki i szorty jeszcze z metkami i potem trzeba było już tylko czekać na pierwszy wyjazd do Jabłkowinu.

Myślałem, że będzie mi smutno, bo jak było tak było, ale przyzwyczałem się do koni, do pegeeru i nawet zżyłem się z niektórymi cywilami. Przez całą drogę do Kamiec, gdy

pierwszy raz jechałem do Jabłkowinu, zastanawiałem się, czy może lepiej byłoby wycofać się z tej nowej grupy i wrócić na stajnię, ale to, co zobaczyłem za bramą przetwórnicy, szybko wybiło mi z głowy jakiegokolwiek powrotu do pegeeru.

Wreszcie nadszedł dzień, na który, tak naprawdę, czekałem od chwili, gdy usłyszałem wyrok w sądzie. Już wtedy, dwa lata temu, uczepliłem się myśli o wcześniejszym wyjściu i dopiero teraz zobaczyłem, że ona wcale mnie nie opuszczała. Często w snach widziałem siebie przed sędzią penitencjarnym, który nie pozwala mi wrócić do domu. Nie chciałem w to wierzyć i liczyłem, że mimo wszystko wypuszczą mnie przed czasem. Kiedy naczelnik wezwał mnie i powiedział, że za trzy dni stoję na wokandę, cieszyłem się jak dzieciak. Moje szczęście nie trwało jednak długo. Naczelnik od razu uprzedził mnie, że bym na wiele nie liczył, bo tutejszy sąd nie ma zaufania do grypsujących i przed terminem ich nie wypuszcza, nawet jeśli wniosek o warunkowe zwolnienie jest pozytywnie zaopiniowany przez naczelnika. Jednak tak do końca nie pozbawił mnie nadziei i powiedział, że istnieje jeszcze szansa, ponieważ sędzia, zanim przystępuje do rozpatrzenia wniosku o przedterminowe zwolnienie, pyta skazanego, czy należy do podkultury więziennej. Jeśli ktoś wyprze się grypsowania, podpisze oświadczenie, wtedy istnieje prawie sto procent szansy dokończenia swojej kary na wolności. Wybór należał do mnie. Teraz miałem twarde orzechy do zgryzienia. Do mojej depresji doszła jeszcze rozterka. Co miałem zrobić? Zostały mi trzy dni. Po raz pierwszy od dwóch lat mój los leżał w moich rękach. Mogłem wybrać: zostaję w kryminale, lub wracam do domu.

Już od rana Star, którym przyjechałem do Chojnic, stał przed bramą ozetu. Dwa dni wcześniej wyprałem sobie rzeczy, by wyglądać porządnie. Kumple zagadywali, coś mówili, ale do mnie nic nie docierało. Zapadłem się w siebie i niczego, ani nikogo nie chciałem słuchać. Z jednej strony prawie szalałem z radości, z drugiej zaś trzęsło mną, jak na dobrym kacu. Trzy dni to za mało, żeby rozstrzygnąć w sobie, jak postąpić. A może za dużo, bo wtedy rodzi się pełno wątpliwości, a gdy człowiek zadaje sobie mnóstwo pytań szukając na nie odpowiedzi, istota sprawy rozmywa się, ginie i już nie sposób jej odnaleźć. Zdałem się na los, na przypadek, na impuls chwili. Liczyłem na to, że decyzja podejmie się sama, jak już stanę przed sądem penitencjarnym. Swój wybór uzależniłem... – właśnie, nie wiedziałem od czego. Od pogody, od miny sędziego, czy od mojego nastroju? Zawiesiłem się i czekałem na cud, na coś, co za mnie rozstrzygnie sprawę, czy jeśli w przyszłości, chwając się, albo robiąc sobie wyrzuty, nie będę miał podstaw do oskarżania siebie. W

razie czego, gdyby sumienie gryzło, zważyłbym winę na to coś nieznanego, na nieistniejące, na los. Bo gdybym uznał, że postąpiłem zgodnie z tym, jak czuję, to wtedy nie byłoby problemu, przyjąłbym wyrok i nie wyzywał się od wszarzy, bo decyzja pochodziłaby ode mnie. Ale gdybym wybrał niezgodnie z własnym sumieniem i wyparł się wszystkiego za rok wolności, to pewnie starałbym się zrzucić wszystko na przypadek i los, żeby nie męczyły mnie wyrzuty, że jestem świnią. Zaplątałem się i już nie potrafiłem powiedzieć, który mój wybór miałby być dobry, a który zły. Nie miałem wiele do rozstrzygnięcia. Dwa słowa: grypsuję albo nie grypsuję. Tylko tyle, ale urosło to we mnie, rozbudowało się, rozprzestrzeniło i przesłoniło cały świat. Chciałem uciec, żeby nie męczyło i nie bolało, ale nie było dokąd. W pewnym momencie miałem dość wokandy i niewiele brakowało żebym się wycofał, ale siedziałem już w samochodzie i jechałem do Suchej. Tylko ta radość, buzujące się emocje, które przynosiły wspomnienie wolności, ciągnęły jak magnes i zagłuszały wszystkie moje wątpliwości, co jest słuszne i co jest najważniejsze. Bo z tymi wspomnieniami, przychodził dom, wolność, swoboda, której tak pragnąłem i o której tak mocno marzyłem. W kryminale nie można schować się w samotność, zaszyć się w lesie albo wejść do opuszczonego, starego domu i zniknąć w jego chłodnych murach. Miałem konie i byłem czasem sam, byłem na oborach i tam też przesiadywałem w samotności, ale cóż to za samotność, skoro na gwizdek musiałem to albo tamto. A na wolności nie ma rozkazów. Musiałem mieć tę wolność, bo czułem, że bez niej umrę albo zwariuję. Dwa lata to niewiele. Byli tacy, co siedzieli kilkanaście lat i jakoś tam sobie swoje życie układali – czasem było im z tym dobrze. Nie wiem, może ja też potrafiłbym się przyzwyczaić do długiego siedzenia za kratami, bo już od początku człowiek ustawia się na przyszłość, jak usłyszy wyrok w sądzie. Wtedy już wie, rozkłada sobie siły, oswaja czas i wytwarza obraz dnia, kiedy będzie wychodził. Później, z dnia na dzień, z miesiąca na miesiąc, wydziela sobie porcje tego obrazu, aż wreszcie ten dzień nadchodzi i obraz z marzeń staje się prawdziwy. Tylko zawsze trwa to tak długo, za długo jak na moje życie. Wmawiałem sobie, że to wolność jest najważniejsza, bo jak wyjdę, ułożę życie od nowa, będę chciał być lepszy, a jak już nie lepszy, to chociaż postaram się żyć w zgodzie z samym sobą. Właśnie, w zgodzie z samym sobą, bo tylko wtedy człowiek może być szczęśliwy i czuć wielką miłość do wszystkiego: tak jak na stajni, przy koniach, na wozie, kiedy powoziłem Baśką i Kryską.

Niczego nie widziałem. Czekałem tylko, aż ktoś mnie wyczyta. Potem znalazłem się w jakimś pokoju, powiedziałem dzień dobry, podszedłem do długiego stołu, za którym siedziało kilku facetów, zameldowałem, że nazywam się Adam Ciechań, że proszę o przedterminowe warunkowe zwolnienie, a potem usłyszałem pytanie, o którym mówił mi naczelnik:

– Czy wy, Ciechań, należycie do podkultury więziennej?

Nadal nie wiedziałem, co mam powiedzieć, jakbym nie rozumiał, o co mnie pytają. I ten, który zapytał, chyba właśnie tak pojął moje milczenie – że nie wiem, co się do mnie mówi. Znów się odezwał:

– Słuchajcie, pytam czy grypsujecie?

– Nie, nie grypsuję – powiedziałem zdecydowanie, jakbym od samego początku, od chwili gdy usłyszałem, że zostałem skazany na trzy lata więzienia, wiedział, że zrobię wszystko by wcześniej wyjść, bo trzy lata to dla mnie za dużo i jeżeli taka szansa się trafi wykorzystam ją i nie zawaham się nawet sekundy.

– A w waszych aktach napisane jest co innego...

– Ale ja, proszę sądu, zrozumiałem teraz, że robiłem źle...

– I gdybyście jeszcze raz mieli zacząć wyrok, czy przystalibyście do podkultury więziennej?

– Nie.

Nie musiałem podpisywać żadnego papieru, że zrzekam się grypsowania. Kazali mi wyjść i czekać na decyzję. Po mnie weszło jeszcze paru złodziei i po godzinie usłyszałem, że mam iść do magazynu. „A więc po rzeczy” - pomyślałem. „Do domu”.

DO DOMU

Kiedy przebrałem się w cywilne ciuchy, kamień spadł mi z serca. Poczułem spokój, ale wcale nie sprawiał mi on radości. Wiedziałem na pewno, że koszmar kryminału skończył się i niedługo będę w domu, tylko czekałem na coś jeszcze, na niesamowite doznania, wielki wybuch szczęścia, o którym marzyłem i wyobrażałem sobie przez ponad dwa lata, a tutaj nic, tylko pustka i niewiadoma. Bo co robić, gdzie jechać i jak zacząć życie? Z kumplami przy herbacie łatwo gadało się o wolności, o pierwszym dniu bez klawisza i oknie bez krat. Tak, łatwo przychodziło takie klepanie na pocieszenie i na wzmocnienie, żeby się nie załamywać, ale gdy trzeba było temu sprostać, stanąłem bezradny i nie wiedziałem, co dalej. Czy w ogóle któryś ze złodziei zastanawiał się, co będzie robił po kryminale? Pewnie tak, i nie było dnia żeby o tym ktoś nie trąbił, ale co z tego się sprawdzało? Wszyscy mieli gotowe recepty na własne życie, plany na przyszłość i wszystkie one były doskonałe, wielkie i każdy dzięki swojej wizji miał stać się lepszym, bogatszym i naprawdę szczęśliwym człowiekiem. Ja też wmawiałem sobie, że kiedy wyjdę z kryminału, pojedę do domu, załapię się do jakiejś roboty, może się ożenię, założę rodzinę, ale jak tylko stanąłem przed tym wszystkim, przestraszyłem się, uznałem, że nie dam rady, bo projekty moich chęci migotały dopiero gdzieś w przyszłości i tak naprawdę wydały mi się nieprawdziwe. Zastanawiałem się, co w takim razie ma sens i zdziwiłem się, gdyż doszedłem do wniosku, że jedynie to, czego nauczyłem się w pegeerze, co zobaczyłem na oborach, na stajni warto było wspominać. To był mój najlepszy czas życia i nigdzie indziej nie chciałem iść. Spokojny, nie nękanym już przez klawiszy i dyżury, zrozumiałem, a raczej odczułem, wszystkie wesołe chwile i te smutne, kiedy się cieszyłem bez opamiętania, albo wściekałem na wszystko i kląłem bez żadnego pohamowania. Ozet, pegeer i Smolarz miały w sobie magię, której nigdy do tej pory nie doświadczyłem. Wcale nie chciałem rozstawać się z ozetem, paryską, koźmi i bukatami na oborach. Tak, wracałem na ozet, ale tylko po to, żeby się rozliczyć, a potem w pociąg i do domu.

Już teraz nie chciałem wracać do pegeeru. Rozumiałem, że jeśli zostanę obok Smolarza, z niczym się nie zmierzę, bo będę jak człowiek w fortecy, który w chwili niebezpieczeństwa chowa się za murem.

koniec

Spis treści

Wprowadzenie.....	3
SANKCJA	4
POWITANIE	5
PRZYDZIAŁ	7
GRYPSOWANIE	10
SMOLARZ.....	14
SIANO.....	17
JESIEŃ.....	21
OBORY	24
KONIE	27
JABŁKOWIN	31
DO DOMU.....	36